

GIORGIO
MANGANELLI

CENTURIA

STO
KRÓTKICH
POWIEŚCI
RZEK

Przełożyła i opatrzyła posłowiem
Halina Kralowa

Państwowy Instytut Wydawniczy

JEDEN

Założmy, że w jakimś momencie pewna osoba, która pisze list do drugiej osoby – płćć czy płććie nie mają znaczenia – zaczyna podejrzewać, czy też po prostu zdaje sobie sprawę, że jest lekko pijana. Nie, nie chodzi o upicie się przykre, hałaśliwe i odrażające – a tylko o fakt, że stan upojenia alkoholowego, hiperbola egzystencji, uwydatnia (jak kiedyś pisano w wypracowaniach) jej wewnętrzną ohydę.

Piszący, dotknięty odkryciem własnej nietrzeźwości, mógłby po prostu powstrzymać się od dalszego pisania. Przyćmiona jasność umysłu związana z nietrzeźwością mogłaby mu zasugerować powstrzymanie się od dalszej rozmowy. Gdyby się jednak powstrzymał od pisania, dałby racjonalne potwierdzenie nieracjonalności właściwej takiemu stanowi; a zatem zstąpienie z tronu osoby piszącej oznaczałoby uznanie samego siebie za trzeźwego naśladowcę, maskę, fałszerza siebie pijanego. Ale od chwili gdy odkrył lub uznał, że jest świadomy odkrycia swego zamroczenia, nie zamierza, nie chce, nie zniesie tego, by

z niego zrezygnować. A zatem od tej chwili jego nie-
trzeźwość będzie świadoma, wybór dobrowolny, choć
mocno doradzany przez senność, przez irytację moral-
ną, przez dziwnie zespolone zakłopotanie i błogość,
które wszystkie razem on uważa za objawy upojenia
alkoholowego. A zatem będzie pisał dalej. Ale czy ma
pisać, pilnując się jakoś szczególnie, czy odwrotnie,
w sposób niewinny i swobodny, nie bacząc na wszelkie
lapsusy? On nie chce się pilnować, bo wie od zawsze, że
ostrożność prowadzi do milczenia, i to nie milczenia,
które wiąże się z powściągliwością, ale bezrozumne-
go i brutalnego milczenia knebla. Zresztą w równym
stopniu razi go niewinność, zwłaszcza niewinność,
której szuka się we współnictwie z kieliszkiem sfer-
mentowanego soku. Za ledwie jednak skończył pisać
te słowa i zastanowił się nad nimi, nie mógł nie zadać
sobie pytania, jaka inna niewinność istnieje poza tą,
trochę toksyczną i niefrasobliwą. A więc to niewinność
musi osądzić własną niewinność. Czyżby nie istniał
żaden kompromis między tchórzostwem tej niewin-
ności a godnością kłamstwa? „Mój drogi”, pisze, „jeśli
wszystko jest podłe poza podłością, czyż nie powinie-
nem dążyć do niewinnego spokoju podłości?”. Ale
słowa odbierają mu odwagę i jest wściekły.

DWA

Pewien pan średniej kultury i dobrych manier spotkał po wielomiesięcznej nieobecności, spowodowanej przerażająco wojennymi wydarzeniami, kobietę, którą kochał. Nie pocałował jej; ale oddaliwszy się w milczeniu, długo wymiotował. Zdumionej kobiecie nie chciał podać żadnych powodów tych wymiotów; nie podał ich nikomu; i dopiero po długim namyśle udało mu się zrozumieć, że owe torsje wyrzucały z jego ciała niezliczone obrazy ukochanej kobiety, które się w nim nagromadziły i miłośnie go zatruwały. Ale w tej samej chwili zrozumiał, że nie będzie już mógł traktować tej kobiety tak, jakby między nimi istniała tylko miłość, miłość łagodna, która pragnie jedynie przezwyciężyć wszelkie przeszkody i pozostać na zawsze miłością naskórkową; on doświadczył toksyczności uczucia i zrozumiał, że toksyczność oddalenia była jedynie alternatywą toksycznej bliskości i że zwymiotował przeszłość, aby dać miejsce przyszłym wymiotom. Aczkolwiek nie byłby zdolny wyjaśnić tego nikomu, wiedział, że to właśnie te torsje, a nie wzdychanie, są

niezbędnym symptomem miłości, tak jak śmierć jest jedynym pewnym symptomem życia.

Od tej chwili znajduje się w sytuacji cudownie uciążliwej, która nie pozwala mu ani lekceważyć, ani wychwalać, ani podziwiać kobiety, którą niewątpliwie kocha – więcej, kocha w sposób trudny do zniesienia, teraz gdy uczynił ją współuczestniczką wymiotów – ani podzielić się z nią własną tajemnicą, tym, że on, by zaakceptować ją całkowicie, musi ją wchłonać, uczynić własną aż do chwili, w której ona okaże się trucizną, o czym nie wie i czego on nie chce jej wyjaśniać. Tymczasem wszędzie życie staje się niepewne, grożą nowe wojny. W perspektywie szykują się nowi umarli, a ziemia staje się miękka w oczekiwaniu na mogiły. Wszędzie rozwiesza się odezwy mówiące o krwi. Ponieważ nikt nie mówi o torsjach, zakochany myśli, że problem jest albo nieznanym, albo pozornie nieznanym, albo zbyt dobrze znanym. Całuje narzeczoną, powierza jej noc poślubną, dosiada, wymiotując, potężnego rumaka śmierci.

TRZY

Pewien pan niezwykle skrupulatny wyznaczył na następny dzień po południu trzy spotkania: pierwsze z kobietą, którą kocha, drugie z kobietą, którą mógłby kochać, trzecie z przyjacielem, któremu, mówiąc krótko, zawdzięcza życie, a może i zdrowe zmysły. W rzeczywistości żadna z tych osób nie odgrywałaby roli w jego życiu, gdyby nie odgrywały jej także te inne; toteż spotkanie popołudniowe ma podstawy nie tylko psychologiczne, ale i fatalistyczne. Niemniej jednak te trzy osoby, wzajemnie niezbędne, są wzajemnie nie do pogodzenia. Żadna z dwóch kobiet nie lubi przyjaciela, bo żadna z nich nie uratowała życia i zdrowych zmysłów tego pana, więcej, ich zachowanie, nietolerancyjne i dziwaczne, wymagało interwencji innego przyjaciela, rozsądnego i nieświadomie subtelnego. Przyjaciel uważa pana za swoje arcydzieło i nie chciałby, aby był łatwo dostępny. Kobieta kochana nie ufa kobiecie, którą pan mógłby kochać, nie tyle z miłości, jaką zapewne darzy pana, który ją kocha, ile ze względu na prestiż, jaki uzyskał on, ryzykując popadnięcie

w szaleństwo i znajdując ratunek u przyjaciela, którego wszyscy chcieliby poznać i o którego talentach do ratowania wszyscy wiedzą, choć nikt nie śmie prosić o przedstawienie mu go oficjalnie; wreszcie kobieta, którą pan mógłby kochać, nie odwzajemnia miłości pana, który zresztą naprawdę jej nie kocha, ale wie, że jest przedmiotem miłości potencjalnej, i zdaje sobie sprawę, że taka możliwość, skazana prawdopodobnie na pozostanie niespełnioną, sprawia jej dużą przyjemność jako idealna mieszanka obojętności i namiętności, ale ta mieszanka zagrożona jest istnieniem kobiety kochanej, bez której zresztą nie byłoby tej kochanej potencjalnie, trzymałby ją na dystans przyjaciel, którego ona nie zna, ale boi się go jako osoby silnej i obojętnej. Pan zaprosił na spotkanie te trzy osoby, bo chciałby wyjaśnić i potwierdzić, że życie bez nich byłoby dla niego niemożliwe. On jest słaby, nadmiernie śmiertelny, trzyma się przy życiu tylko dzięki zbiegowi okoliczności. Chciałby zatem odegrać scenę melodramatycznej spowiedzi? Skądże znowu. Zrozumiał właśnie, że on tam nie pójdzie, bo jutro jest zbyt ciasne, by pomieścić jego i wyjaśnienia innych. Ale ciasny jest przede wszystkim on sam i wkroczenie jednocześnie trzech postaci niezbędnych i nie do pogodzenia zniszczyłoby go w jednej chwili.

CZTERY

Koło dziesiątej rano pewien pan solidnie wykształcony, o usposobieniu umiarkowanie melancholijnym, odkrył niepodważalny dowód na istnienie Boga. Był to dowód zawiły, ale nie na tyle, by nie mógł go pojąć umysł średnio filozoficzny. Solidnie wykształcony pan zachował spokój, raz jeszcze sprawdził dowód na istnienie Boga od początku do końca i na odwrót, i na zakończenie stwierdził, że zrobił dobrą robotę. Zamknął zeszyt z notatkami dotyczącymi definitywnego dowodu na istnienie Boga i wyszedł, by zająć się sprawami błahymi – słowem, by żyć. Koło czwartej po południu wracając do domu, zdał sobie sprawę, że zapomniał, jak dokładnie sformułowane były niektóre fragmenty przeprowadzonego dowodu; a wszystkie były, naturalnie, istotne.

Zdenerwował się tym. Wszedł do jakiegoś lokalu, by napić się piwa, i wydawało mu się przez chwilę, że jest spokojniejszy. Odnalazł jeden fragment, ale zaraz potem zauważył, że zgubił dwa inne. Liczył na notatki, wiedział jednak, że jego notatki były niepełne, i taki-

mi je pozostawił, bo nie chciał, by ktoś inny, choćby służąca, był pewien istnienia Boga, zanim on przeprowadzi skrupulatnie cały wywód. W dwóch trzecich drogi do domu spostrzegł się, że podczas gdy dowód na istnienie Boga tracił swoje mocne, zdumiewające cechy szczególne, on natykał się na argumenty, o których nie umiał powiedzieć, czy należą jeszcze do jego wyvodu pierwotnego. Czy był tam fragment dotyczący Otchłani? Nie, nie było, i nie było Śpiących Dusz, ale może był Sąd Ostateczny. Nie był tego pewny. Piekło? Nie sądził, aby to było możliwe, a jednak miał wrażenie, że długo roztrząsał problem Piekła i że jego istnienie umieścił w szczytowym punkcie swojego wyvodu. Dotarłszy przed drzwi domu, poczuł, że oblewa go zimny pot. Czego on tak naprawdę wykazał istnienie? Skoro coś okazywało się niewątpliwie prawdziwe i niepodważalne, ale niemożliwe do ujęcia w formułę nie do zapomnienia. Dopiero wtedy zdał sobie sprawę, że ścisła w rękę klucz do domu i gestem spóźnionej desperacji cisnął go na środek pustej ulicy.

PIĘĆ

Pewien pan, który nikogo nie zabił, został skazany na śmierć za morderstwo; miał jakoby zabić z powodów finansowych swojego współnika, którego zachowań prywatnych nie zamierzał ani wyjaśniać, ani komentować. W sumie wydało mu się, że ponieważ chodziło o jego współnika, mogła mu przypaść w udziale kara bardziej hańbiąca. Sędziowie przyznali nawet, że on, morderca, został niegodnie oszukany. Prawdę mówiąc, choć był tego pewny, nie próbował nigdy dowiedzieć się, czy został oszukany i w jakim stopniu. Przyjął w myśli sensowną w przybliżeniu sumę dwóch trzecich zysku. W rzeczywistości, jak odkrył w czasie procesu, oszustwo było o wiele mniejsze. W tym sensie proces go ucieszył; upewnił go, że przyjaciel był oszustem, ale odkrycie, że był nieśmiały i powściągliwy, głęboko go wzruszyło. Starał się wyjaśnić, iż był przekonany, że chodzi o dwie trzecie, ale nigdy nie myślał o morderstwie. Czyż mógł zabić za tak drobną stratę? Na próżno; wytłumaczono mu, że ma niedobry charakter i cierpi na złudne poczucie wszechmocy.

Nie był jednak obłąkany, aczkolwiek miał więcej niż skłonność, miał rodzaj miłości do obłądu. Przyznał, że uwaga ta była zasadna. Od tej chwili nie próbował już bronić się w sposób rozsądny i uargumentowany. Fakt, że jemu, człowiekowi, którego łagodność graniczyła z opieszałością, przypadło skończyć przed sądem pod zarzutem morderstwa, wydał się mu tak zadziwiający i nieprawdopodobny, że w rezultacie urzeczywistnił jeden z wielkich tematów jego życia: osiągnięcia obłądu obiektywnego, nie tylko własnego obłądu, lecz obłądu strukturalnego, w którym wszystko jest trwale powiązane, wszystko wydedukowane, wszystko zamknięte. Żądza wszechmocy? Ależ on jest naprawdę wszechmocny. Skoro on, niewinny, uznany został za winnego morderstwa, to on i nikt inny jest kamieniem węgielnym obłądnej struktury. Co za trudna rola: nie mógł kłamać, bo wreszcie mieszkał w prawdziwym świecie, ani udawać obłądu bez wystawienia na niebezpieczeństwo całego gmachu szaleństwa. Wymagało to wielkiej rozwagi, ale tej mu nie brakowało.